Wydanie I.

Cena egzemplarza **20** groszy

PRZEWODNIK KATOLICKI

Redaktor naczelny:
X. JÓZEF KŁOS w Poznaniu.
Telefon Redakcji: 2678.
Adres dla spraw dotyczących rękopisów i treści pisma: REDAKCJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.

Pismo ilustrowane dla Rodzin katolickich
z dodatkami:
„NASZA PRZYSZŁOŚĆ" i „GOSPODARSTWO"

Adres dla spraw dotyczących przedpłaty, ekspedycji itd.
ADMINISTRACJA
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22
Tel. Administracji: 3613 i 2678
Warunki przedpłaty patrz ostatnią stronę w dole

Nr. 38. **Poznań, dnia 18 września 1927 roku.** **Rok XXXIII.**

WSKRZESZENIE MŁODZIEŃCA Z NAIM



Zbawiciel pociesza strapioną matkę.

Malował Z. Feldmann.

Stara książka

Otworzyła się książczyna,
W niej powieści takie stare:
„Jak szanować swoich ojców
I pradawną naszą wiarę." —

Otworzyła się książczyna,
I z żółkłemi świeci karty;
Patrzy z zgrozą na zmieniony,
Nowoczesny świat uparty. —

„Tyle wieków jest już pono,
Jak ojcowie mnie wydali;
Co się znaczy, że ludziska
Treści mojej nie poznali? —

Wszak świat za postępem goni,
Twierazą, lepszy jest co chwilę;
Przecz w nim, piękne myśli toną,
Choc ich w Polsce było tyle? —

Przecz, miast treśc mą zapamiętać,
I w życie ją ucieleśnić,
Przeżywają męki tyle —
Choćby w szczęściu można prześnić

Te przepiękne, Boże chwile,
Co nam wielkie nieba dały,
A co wasze niedołęstwo,
I zła wola — zmarnowały. —

Zdumiały się karty książki,
Co to w nich jest dobra tyle;
I mrugnęły w naszą stronę
podśmiechując się nam mile.

I rzekła książczyna stara
Tą prześliczną Dziadów mową:
„Mości bracia, pięknie proszę,
Rządźcie sercem się wraz z głową

I pomnijcie Waszmościowie,
Że ta polska nasza gleba,
Nie postępem zagranicznym,
Jeno wiarą, trafi w nieba.

Nie postępem zagranicznym
Zagranicznych knowań modą,
Ale polską, wiarą, cnotą,
I miłością i swobodą,

Lecz swobodą w duchu Bożym,
Nie spaczoną jej poczwarą,
Więc się rządźcie mniej postępem,
Ale więcej dawną wiarą. —

L. Woźnicka.

Kto jest twórcą naszych hymnów religijnych?

Kiedy pod sklepieniem świątyni zabrzmią uroczyste dźwięki starych pieśni kościelnych, pobożne wzruszenie ogarnia serca nasze, dusza na skrzydłach modlitwy wznosi się ku niebu. Może niejeden zadaje sobie pytanie, kto jest twórcą tych wzniosłych pieśni, które od całego szeregu wieków rozlegają się we wszystkich kościołach katolickiego świata. Stworzyli je przeważnie wielcy i święci mężowie, pod wpływem gorącej wiary i głębokiej pobożności.

Najdawniejszą pieśnią religijną, śpiewaną po kościołach podczas radosnych uroczystości od półtora tysiąca lat zgórą, jest Te Deum laudamus, napisana przez św. Ambrożego, biskupa medjolańskiego w 4-ym w. po Chr. Hymn „Ave maria stella", z którego powstała polska pieśń „Gwiazdo morza", skomponował Francuz, biskup Ademar pod murami oblężonej Antjochji, podczas wyprawy krzyżowe r. 1098. Twórcą hymnu do Ducha Św. „Veni Creator" jest papież Innocenty III, słynny z cnoty i mądrości.

Z 13-go w. również pochodzą dwie wzniosłe pieśni religijne: posępne Dies irae dies illa („Dzień on dzień gniewu Pańskiego") i przejmująca boleścią Stabat Mater („Stała Matka boleściwa"). Obie są dziełem zakonników, OO. Franciszkanów: jeden zwał się Tomasz di Celano, drugi Jacopone da Todi. O salutaris Hostia i Tantum ergo, pieśni, w których wzniosła treść łączy się z piękną melodją, napisał św. Tomasz z Akwinu, chluba Kościoła. Hymn pokutny „Przed oczy Twoje, Panie" wyszedł z pod pióra papieża Urbana VIII w wieku siedmnastym.

Z. S.

Ewangelja na piętnastą niedzielę po Świątkach

zapisana u św. Łukasza rozdz. 7, w. 11—16.

W on czas: Wybrał się Jezus do miasteczka, zwanego Naim, i szli z Nim uczniowie Jego i mnoga rzesza. Gdy zaś zbliżał się do bramy miasteczka, oto wynoszono zmarłego, jedynaka pewnej matki, która była wdową, a rzesza z miasteczka szła z nią w wielkiej liczbie. A widząc ją Pan, ulitował się nad nią, i rzekł do niej: Nie płacz! I przystąpiwszy, dotknął się mar, a ci, co nieśli, stanęli. Wtedy rzekł: Młodzieńcze, rozkazuję ci: wstań! A zmarły siadł i zaczął mówić. I oddał go matce jego. A wszystkich przejął strach i chwalili Boga, mówiąc: Wielki prorok powstał wśród nas, a Bóg łaskawy wejrzał na lud swój.

Nauka.

„A wszystkich przejął strach i chwalili Boga."

Ewangelja dzisiejsza opisuje pogrzeb, jakiego nikt z nas nie spotka, póki żyć będzie: pogrzeb, który się kończy wskrzeszeniem umarłego! Pan Jezus okazał tym cudem boską wszechmoc swoją w sposób tak wstrząsający, że „wszystkich przejął strach i chwalili Boga."

Podobnie, gdy my bierzemy udział w pogrzebach, zbawienny ma nas przejąć strach, ponieważ mówi nam rozum: co dzisiaj tego w trumnie, jutro może spotkać mnie!

„Nam wszystkim postanowiono raz umrzeć, a potem — sąd." — Taka bojaźń, to bojaźń Pańska, to początek mądrości. Umarłych pogrzebać, to jeden z uczynków miłosiernych, jakie Kościół św. zawsze zalecał, aby uzyskać miłosierdzie boskie w myśl tych słów Chrystusa Pana: Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią."

W tym celu zachowujmy w drodze na cmentarz milczenie. Lepiej jeszcze, jeżeli śpiewamy pogrzebową pieśń pobożną, która niestety w naszych stronach zamiera. Ale żadną miarą nie bierzmy udziału w płochych rozmowach jakie inni uczestnicy pogrzebu wszczynają, wybuchając nieraz głośnym nawet śmiechem! Co to za bezwzględność, raniąca serce do głębi tym, którzy kroczą, rzewnie płacząc, za trumną!... Rozważmy, jakby nas to bolało, gdybyśmy opłakiwali zmarłego, a dolatywały nas śmiechy i głośne rozhowory idących w orszaku pogrzebowym?!

„Widząc ją Pan, ulitował się" nad płaczącą... Oto wzór samego Zbawiciela, który okazuje się tu człowiekiem współczującym, litościwym, nie mogącym patrzeć obojętnie na łzy ludzkie. Oby pobudził do naśladowania wszystkie serca szlachetne. Zamiast iść za przykładem ludzi nowoczesnych, którzy na pogrzebie szukają widowiska lub zaspokojenia ciekawości, uważajmy udział w nim za uczynek zbożny i miłosierny, a będzie on dla nas także zbawiennym, o ile przejmie nas świętym strachem i jeżeli nie omieszkamy przy tym smutnym obrzędzie chwalić Boga.

Na drugiej półkuli

Wspomnienia i wrażenia z podróży na kongres eucharystyczny w Chicago

XLIX.

Bankiet polityczny. — Paderewski w Ameryce. — Mistrz toastu. — Życzenia księdza Sznarbachowskiego. — Moje przemówienie. — Kilka słów prawdy. — Bez zachwytu. — Inny kierunek rozmowy. — Wyjaśnienia. — Żale do episkopatu polskiego. — Zgrzyt. — Oświadczenia katolickie. — Pośrednictwo u naszych biskupów. — Nie było skutku.

Rozmowy przy gościnnym stole na owem śniadaniu politycznem były bardzo pouczające. Mówiono dużo o położeniu Polski, wypytywano z troską o wszystko, co się działo w kraju, — a przypominam, że to było krótko po przewrocie Piłsudskiego, — i każdą wieść uspokajającą przyjmowano z szczerem zadowoleniem.

Przekonałem się wtedy, jaką miłością w Polonji amerykańskiej cieszy się Paderewski. Rodacy nasi w Ameryce, którzy patrzeli na jego niezmordowaną, a tak obfitą w owoce pracę jego za Oceanem dla Polski, byli przekonani, że go Polska nie wypuści, lecz wyzyska jego światowe znaczenie dla dobra kraju, dla pożyczki, dla podniesienia swojego znaczenia na rynku światowym. Przekonani są także, że rola Paderewskiego jeszcze nieskończona. Każde przybycie Paderewskiego do Ameryki to jakby święto narodowe.



Paderewskiego przybywającego do Ameryki witają już na statku dzieci polskie ubrane w stroje krakowskie.

Gospodarz naszego bankietu politycznego wziął się na sposób amerykański, by zmusić do mówienia nas, gości z Europy. Otóż, jak zwyczaj amerykański każe — a opisywałem już dawniej, jakto na każdym publicznym bankiecie wybiera się mistrza toastów, — sam się ogłosił takim toast-mastrem, i jako taki wzywał czy zapraszał poszczególnych mówców do wygłoszenia własnych zapatrywań.

Na pierwszy ogień poszedł ksiądz prałat Sznarbachowski z Łucka. Wyraził on amerykańskim rodakom cześć za ich twarde stanowisko w obronie języka i narodowości i życzył w imieniu starego kraju, aby w przykrej walce zwyciężyli i ujrzeli pewnego dnia spełnione serdeczne pragnienia Polonji amerykańskiej.

Zaraz potem udziela gospodarz głosu mnie.

— Do licha ciężkiego, — pomyślałem sobie, — co ja tu powiem, skoro mój poprzednik, jako pierwszy mówca, był w tem szczęśliwem położeniu, że wyjadł mi wszystkie komplementy i uprzejmości, które chętnie się mówi w podobnych okazjach, a dla mnie już nic nie zostało, czembym mógł uczęstować kochanych rodaków. Więc zaryzykowałem powiedzieć im kilka słów prawdy, może narazie niezbyt przyjemnych, ale ostatecznie pożytecznych. Pokazało się rzeczywiście, że moje przemówienie dało powód do kilku bardzo ważnych wyjaśnień.

— Mam wrażenie, — powiedziałem pomiędzy innemi, — że jakkolwiek obrona języka polskiego ze strony Polaków w Ameryce domaga się szczerego uznania, to jednak nasi kochani rodacy niekoniecznie są konsekwentni w swoich zabiegach. Czyżby naprzykład nie należało przy takiej okazji jak kongres eucharystyczny pozostawić na uboczu wszelkie spory a wziąć w kongresie udział całą olbrzymią masą Związku i Zjednoczenia? Czyż nie należało wepchnąć się nawet siłą do komitetu kongresowego? Czyż roztropną jest rzeczą dać przeciwnikowi do ręki jako broń taki zarzut, że organizacje polskie bojkotują kongres, że żaden z tych tuzów obozu narodowego nie pokazał się nawet na uroczystości otwarcia polskiej sekcji? A potem gdy chodzi o prawa narodowości, zwłaszcza w Kościele: Jeżeli są biskupi, którzy próbują przemycić, jak słyszymy, język angielski do kazań, ba, nawet do katechizacji dzieci, to chyba dlatego przeważnie, że Polacy w Ameryce sami własny język zaniedbują. Młodzież i dzieci zapominają języka ojczystego, lepiej mówią po angielsku, niż po polsku, na ulicy ze sobą rozmawiają po angielsku, cóż dziwnego, że myśli się tu i owdzie język polski zastąpić angielskim, który im stał się więcej swojskim, łatwiej zrozumiałym niż ojczysty. To jest tragedja dziecka polskiego w Ameryce, że nazywając się dzieckiem polskiem z winy domu rodzicielskiego nie zna własnego języka wcale albo gorzej od angielskiego. Chcecie, aby wam arcybiskup chicagoski, ajrysz czy nawet Niemiec z pochodzenia, polszczył wasze dzieci, które anglizują się w rodzinie polskiej? Albo żeby nakazywał uczyć dzieci katechizmu po polsku, skoro rodzice nie dbają o to, aby one władały czystym językiem polskim, aby umiały mówić, pisać i czytać w tym języku? Chcecie, aby arcybiskup amerykański obcej narodowości więcej się starał o polskość polskich dzieci, aniżeli polscy księża, którzy, zwłaszcza młodzi, między sobą, tak samo w domu z rodziną i służbą, a nawet z dziećmi polskiemi, nawet w kościele, w zakrystji, jak słyszałem na własne uszy, mówią po angielsku? Od kogo ma się dziecko polskie uczyć poszanowania dla języka własnego, jeżeli polscy księża pomiatają nim na korzyść angielskiego? Jestem pod urokiem wielu rzeczy, które podziwiam u rodaków amerykańskich, ale boli mnie, że tak pozwalają trawie porastać na mogile, do której sami położyli język ojczysty. Czego mi życzyć w tej

mierze? Przykro to powiedzieć, ale powiem. Życzę, aby rząd amerykański począł prześladować język polski i sprawę polską w Ameryce. Wtedy bowiem, jestem przekonany, naprzekór prześladowcom ukochalibyście więcej mowę ojczystą, nie szczędzilibyście w szlachetności swojej ciężkich dla niej ofiar, wtedyby znalazł się między wami więcej niż jeden Drzymała, wtedyby płacz dzieci bitych za polski pacierz, jak u nas we Wrześni, obudził sumienia rodaków, którzy śpią snem amerykańskim, i zamieniłby ich w rycerzy nieustraszonych, walczących za wiarę i ojczystą mowę!...

Nie mogę się pochwalić, aby moje przemówienie wywołało zachwyt w kole słuchaczy. Kto wie czy niejeden z nich nie przyznawał mi w duszy słuszności i nie musiał sobie powtarzać słowa poety: Smutno mi, Boże, bom sam pełen winy!

To jednak jest pewne, że rozmowa potoczyła się po mojem przemówieniu w innym zupełnie kierunku. Podawano dużo szczegółów, które wyjaśniały niejedno zjawisko w religijnem i narodowem życiu Polonji amerykańskiej.

Oczywiście niemożliwą jest rzeczą szeroko rozpisywać się o tem wszystkiem, tem więcej, że już w ciągu niniejszego opisu często tych spraw dotykałem, aby zaś wyczerpać całość tego zagadnienia polsko-amerykańskiego, trzebaby skreślić całe tomy.

Ale warto przyjąć do wiadomości, co przytaczali owi panowie na swoją obronę, że mianowicie nikt kongresu nie bojkotował, że komitety wszelkie powstały z nominacji kardynała Mundeleina, a nie z wyboru, że przeciwna strona nie dopuszcza członków organizacji do żadnych działań wspólnych, że więc i na powitanie biskupów polskich w Nowym Jorku niemożliwem było przybyć narodowcom...

— Mieliśmy zresztą nadzieję, — mówi jeden z działaczy, — że ze strony episkopatu polskiego otrzymamy jakieś uwiadomienie o przybyciu polskich biskupów. Przecież nie jest to zbyt wysokiem wymaganiem, gdy się zważy, że jesteśmy przedstawicielami zorganizowanej Polonji amerykańskiej. Wiedziano o tem w Polsce, gdy potrzebowano od nas dolarów. Ś. p. kardynał Dalbor do nas, a nie do przeciwnej strony zwrócił się o pomoc pieniężną dla sprawy społecznej w pewnym momencie: nie jest to żadną tajemnicą, bo pisały o tem wszystkie gazety polskie w Ameryce. Dlaczego więc w tym wypadku o tem zapomniano. A to byłoby nam niezmiernie ułatwiło zbliżenie się do najczcigodniejszych biskupów, którzy z Polski przybyli na kongres.

— Wogóle o ile mielibyśmy mocniejszy stos pacierzowy, — dorzuca inny, — gdybyśmy we wszystkich naszych wysiłkach czuli po swojej stronie poparcie rządu polskiego i polskiego episkopatu! Jakby się tutaj wtedy z nami inaczej liczono! Chociażby tylko w sprawie polskich biskupów dla Ameryki...

I tutaj muszę powiedzieć z przykrością, że usłyszałem w przemówieniu przedstawicielki polskich niewiast w Ameryce zgrzyt żelaza na szkle, bo coś jakby pogróżkę w stronę Rzymu.

— Jeżeli Rzym pozostanie głuchym na nasze wołania, wtedy widmo kościoła narodowego straci u nas na grozie i sami sobie damy to, czego się nam odmawia tak długo wbrew sprawiedliwości.

Złagodzono ostrość tych słów następnemi przemówieniami, w których nie pozostawiano najmniejszej wątpliwości, że organizacje polskie, mimo uczucia krzywdy doznawanej, stoją niewzruszenie na gruncie katolickim i żadna ich siła z tego gruntu nie wyprze.

Takie oświadczenie złożył przedewszystkiem przedstawiciel Polskiego Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego, p. redaktor Stefanowicz, p. dr. Fronczak i szanowny gospodarz.

— Gdybyśmy przynajmniej mogli, — mówił tenże, — zbliżyć się do obecnych tu w Chicago biskupów polskich i przedstawić im prawdziwe położenie rzeczy.

— A cóż stoi na przeszkodzie? — pytamy my, Europejczycy.

— To że nas Mundeleinowcy do biskupów naszych nie dopuszczą, — słyszymy odpowiedź. — Mamy doświadczenie z czasów, gdy był u nas świętej i przezacnej pamięci ksiądz arcybiskup Cieplak. Jak ludzie z tamtej strony wzięli go w swoje posiadanie i jak kręcili, aby przedstawicieli przeciwnego obozu do niego nie dopuścić. I potrzeba było całego świętego gniewu i oburzenia tego anielskiego kapłana, aby zburzyć sztucznie wzniesione mury. W ten sposób przygarnął ów biskup-męczennik wszystkich, bez różnicy zapatrywań, do swojego kochającego serca. A teraz widzimy powtórzenie dawnych zabiegów. Biskupi polscy porozmieszczani po domach naszych wrogów i otoczeni siecią intryg kilku wybitnych działaczy, którzy już o to będą dbali, aby żaden z naszych nie dostał się przed ich oblicze.

— W takim razie nic łatwiejszego jak pośredniczyć między wami a biskupami!

Przyjęto z zadowoleniem tę myśl. Stanęło na tem, że ja miałem jeszcze tego samego dnia jednemu z naszych księży biskupów opowiedzieć treść dzisiejszych rozpraw i wyrobić organizacjom polskim sposobność zbliżenia się do biskupów z zaproszeniem na jakiś bankiet czy zebranie po skończonym kongresie eucharystycznym w gronie członków tychże organizacyj.

Spełniłem polecenie. Zaraz na rozpoczęciu popołudniowych obrad sekcji polskiej przedłożyłem niejako urzędowo jednemu z księży biskupów prośbę rodaków i otrzymałem z jego ust przyrzeczenie, że po porozumieniu się z dwoma innymi biskupami da mi odpowiedź jutro, pojutrze...

Nie wiem co się stało. Ale stwierdzam niestety, że do dnia dzisiejszego nie otrzymałem owej zapowiedzianej odpowiedzi, na którą przedstawiciele Polonji amerykańskiej czekali z upragnieniem. Nie wątpię, że księża biskupi mieli dostateczne powody, aby zrobić tak, a nie inaczej. Ale przebieg rzeczy w dniach następnych miał pokazać, że tak jak się stało, stało się niedobrze.

X. Józef Kłos.

PROBOSZCZ z ARS

(św. Jan Marja Baptysta Vianney)

Streściła podług francuskiego Iry St.

(Ciąg dalszy.)

Codzień, gdy przychodził spożyć swój skromny posiłek w godzinie obiadowej, zastawał na stole cały stos listów, petycyj, próśb, zapytań.

Nie miał czasu, osobiście odpowiadać na nie, ale polecał każdą ważniejszą sprawę swemu sekretarzowi i dawał mu ustne wskazówki i odpowiedzi. Tym sposobem mała wioska Ars stała się wielkiem ogniskiem — skąd cała Francja czerpała światło i ciepło.

Ci, którzy czytać będą życiorys proboszcza z Ars, zadziwią się może i zapytają, kiedy miał czas, wobec olbrzymiej, duszpasterskiej pracy pomyśleć o własnej duszy i modlitwie. Tymczasem wzorowy kapłan, nigdy goręcej i gorliwiej nie postępował na drodze doskonałości i świętości, jak właśnie w onych latach trudów i mozołów około zbawienia bliźnich. Nie posiadał już nic własnego, — nawet słomy w sienniku,

— wszystko darował lub sprzedał, aby ratować nędzarzy. Ale im więcej rozdawał — tem hojniejsze datki wpływały do jego kasy i często znajdywał szuflady pełne złota — nie mając nawet pojęcia, kto złożył ofiarę.

Miłosierdzie jego wybiegało daleko poza szranki parafji. Misje, które zakładał, przedstawiały kolosalne sumy, sama jedna w Belley, kosztowała 200 tysięcy franków.

Bywało, że X. Vianney wzdragał się przyjąć zbyt wielkie sumy i brał zaledwie trzecią część tego, co mu ofiarowano. Mówił wówczas:

— Mój przyjacielu, zatrzymaj swoje pieniądze — dużo dobrego możesz niemi zrobić we własnej parafji.

Ofiary płynęły do Ars — ale i pielgrzymi w równej mierze, a niektórzy zanudzali wprost pytaniami lub prośbami biednego proboszcza. Nigdy jednak, choć upadał ze zmęczenia, nie pokazywał nikomu twarzy posępnej lub znudzonej; lecz z dobrym uśmiechem witał i odprowadzał aż do drzwi odwiedzających go pątników. Nie mówiono o nim inaczej, jak: „dobry proboszcz z Ars." Twardy dla siebie, dla swych współpracowników był pełen ojcowskiej pieczołowitości. X. Toccanier opowiadał, że pierwszego wieczoru po przybyciu do Ars — gdy już wszyscy się pokładli na spoczynek i on zabierał się do snu, jakież było jego zdziwienie, gdy mimo szalejącej wichury na dworze, z latarnią w ręku wszedł do jego sypialni sędziwy proboszcz.

— Mój przyjacielu, — rzekł, — uważałem, że ty mocno kaszlesz, jeśli chcesz, jutro odprawię pierwszą mszę św. i podejmę się katechizacji dzieci na twojem miejscu.

Wszyscy misjonarze doznawali podobnych względów i czułej opieki — to też jednogłośnie nazywali proboszcza ojcem i kochając go jak dzieci, z bólem patrzeli, gdy ciężka niemoc poczęła podkopywać jego nadwątlone pracą zdrowie. Okropne cierpienia wewnętrzne, tak go czasem skręcały, iż zmuszony był przerwać kazanie i padał jak omdlały na krzesło. Jakież katusze musiał przechodzić siedząc 16—18 godzin w konfesjonale! — Jeśli potem jeszcze zniewolony był odwiedzić chorego, szedł jak złamany we dwoje, przystawając co chwilę, by tchu dostać. A gdy po mozolnym dniu, ułożył się do snu, nie mógł znaleźć wypoczynku na swem podłem iście madajowem łożu, gdyż nocą męczył go kaszel — tak, iż po kilka razy wstawać był zniewolony, a skoro nad ranem przychodziło ukojenie i sen pokrzepiający, 70-io letni starzec, heroicznym wysiłkiem, zrywał się z posłania, by biec na służbę Bożą.

Do fizycznych cierpień, przyłączały się moralne udręki. Wielka miłość Boża, płonąca w sercu Świętego sprawiała, iż odczuwał tem boleśniej grzechy świata.

— Ach! — powtarzał — jakże mi się życie dłuży wśród winowajców! — Kiedyż nareszcie ujrzę Świętych Pańskich?

— Dusza moja smutna aż do śmierci.

Uszy słyszą tylko takie rzeczy, które sprawiają sercu straszne udręki!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jesień już nadchodzi

i zbliżają się długie wieczory. Czem się zająć w te długie jesienne i zimowe wieczory, kiedy na dworze deszcz z wichrem tańczą w zawody, a człowiekowi nie chce się wyjść na dwór, bo pocóżby wychodził? Najlepiej siąść za stołem, zgromadzić wszystkich domowników wkoło siebie i zająć się czytaniem. Niech starsze dziewczęta szyją lub robią zawsze użyteczne robótki, które w ostatnich latach poszły w zapomnienie, młodsze dzieci niech zabawiają się spokojnie, a ty ojcze rodziny weź do ręki „Przewodnika Katolickiego" i czytaj, czytaj na głos, aby cię cała twoja rodzina słyszała, aby upamiętniła sobie, co podaje wam ta gazeta katolicka.

Czasy są ciężkie, niejeden narzeka, że nie może starczyć z pieniędzmi, ale mimo wszystko, gazetę w domu musi mieć każdy, aby wiedział, co się na szerokim świecie dzieje.

Wydatek sowicie się opłaci.

Za kilkadziesiąt groszy na miesiąc, kupujesz sobie czytelniku wiele nauki i światła, pogody ducha, rozrywki dla umysłu, a tem samem zdobywasz siły do zwyciężenia niejednego kłopotu, niejednej biedy, jeśli zapiszesz sobie „Przewodnika Katolickiego."

Każdy człowiek musi mieć pokarm dla ducha, a dobre pismo, takie jak „Przewodnik Katolicki" pokarmu tego dostarczy. Najlepszym dowodem, że „Przewodnik Katolicki" wszystkim czytelnikom się podoba, że spełnia swe zadanie, że prostuje ścieżki i wskazuje drogę prawdy, po której chodzić mamy, jest to, że posiadamy już przeszło

150,000 abonentów,

abonentów zadowolonych i czekających z utęsknieniem na swego przyjaciela i doradcę, jakim jest właśnie „Przewodnik Katolicki". Czem sobie zjednał tylu czytelników, tylu przyjaciół „Przewodnik"? Otóż niczem innem jak tylko tem, że starał się zawsze zadowolnić życzenia swych abonentów, że podawał piękne obrazki z życia całego świata, że drukował piękne artykuły treści religijnej, broniące wiary naszej przeciwko zaczepkom, że zwracał uwagę na te rzeczy z polityki, które związane są ściśle z życiem i prawem Kościoła katolickiego, natomiast nie bawi, się nigdy „Przewodnik Katolicki" w politykę stronniczą. „Przewodnik Katolicki" kochają wszyscy za to, że starał się zawsze o zajmującą i pouczającą powieść, że nie zapomniał o naszych pociechach-dzieciach, że dawał dla młodzieży jak i dzieci śliczne nauki, powiastki, wierszyki, że starał się dla tych naszych pociech o rozrywki i zabawy.

„Przewodnik Katolicki" kochają wszyscy rolnicy, za to, że nie zapomniał o nich, że pamiętając o trudach i mozołach pracy w polu, podawał artykuły pisane przez siły fachowe zdążające do tego, aby pomóc rolnictwu tak ciężko dziś utrapionemu, pomagał światłemi radami do podniesienia gospodarki, od której zależy dobrobyt w kraju całem.

Do czego wobec tego jesteśmy zobowiązani wobec gazety, która jest nam wszystkiem? Otóż do niczego więcej, jak tylko do pilnego czytania co nam ona podaje, do rozkrzewiania jej między przyjaciółmi, krewnymi i znajomymi. Nie powinno być domu katolickiego, w któremby nie było „Przewodnika Katolickiego," tego najlepszego przyjaciela i doradcy. Spiesz się więc czytelniku z rozkrzewianiem pisma, nie zapominaj teraz przy końcu kwartału zapisać je dla siebie, dla twych znajomych i krewnych. Niech liczba wzrasta jak najszybciej, abyśmy przy końcu roku mogli się poszczycić, że mamy czytelników okrągłe 200 tysięcy!

FRANCISZKANKI MISJONARKI MARJI



Matka Marja od Męki Pańskiej, założycielka zakonu SS. Franciszkanek M. Marji.

Kiedy w r. 1900 wybierałam się po raz czwarty do Włoch, poradzono mi, żeby zamiast w hotelach, stawać w klasztorach Chętnie posłuchałam tej rady i ponieważ miałyśmy najprzód zatrzymać się w Asyżu, wysłałam z Ankony telegram do SS. Franciszkanek Misjonarek Marji, prosząc o dwa pokoje.

Przyjechałyśmy o zmroku. Już sam widok zakonnic, od stóp do głów ubranych biało, wytworne ich obejście, cisza panująca dokoła, najmilsze sprawiły na nas wrażenie, a kiedy po wieczerzy, z latarką odprowadzono nas do pawilonu w ogrodzie, urządzonego skromnie, lecz bardzo czysto, zdawało nam się, że jesteśmy w Polsce, w przyjaznym domu na wsi, z uprzejmą przyjmowane gościnnością.

Rano przebudziły mię dzwony. Pobiegłam do okna i ujrzałam tuż przed sobą, za ogrodem wspaniałą bazylikę N. M. P. Anielskiej. Z drugiego okna widziałam Asyż, piętrzący się na wzgórzu; jeszcze wyżej, niebo włoskie rozpościerało swoje bławaty nad uroczą Umbrją. Trudno w lepszym nastroju zwiedzać ojczyznę św. Franciszka.

Zakonnice pokazały nam szkołę koronczarstwa dla dziewcząt i dały adres klasztoru we Florencji, gdzie miałyśmy zabawić dłużej. Siedliskiem SS. Franciszkanek jest tam pałac Rospigliosi, po drugiej stronie Arno. Furtjanką była Syngalezka z Cejlonu o ciemnej cerze: widok jej przypomniał mi, że głównym celem tego zgromadzenia są prace misyjne.

Dotąd wspominam jak najlepiej pobyt w tym klasztorze. Z okien naszych pokojów na 1-em piętrze, patrzyłyśmy na miasteczko Fiesole, zawieszone na kwiecistem wzgórzu; po dniach pełnych artystycznych wrażeń, rozkoszną była klasztorna cisza, która działała kojąco na umysł zmęczony.

W ogrodzie, kędy kwitnęły właśnie drzewa kameljowe, stoi pawilon, w którym biedne dzieci uczą się wyrabiania mozajek z odrobin szkła kolorowego. Z wielkiem zajęciem przypatrywałam się tej pracy.



SS. Franciszkanki Misjonarki Marji.

W Rzymie stanęłyśmy także u SS. Franciszkanek na via Giusti, w pobliżu trzech wielkich bazylik: S. Croce, Lateranu i S. Maria Maggiore. W obszernym, okazałym gmachu mieści się piękna kaplica, biała ze złotem, kędy przed ołtarzem odbywa się nieustająca adoracja Przen. Sakramentu: dwie zakonnice zmieniają się co pół godziny. Od ogrodu jest śliczny krużganek, w którym odprawiają drogę krzyżową.

Z pojęciem klasztoru łączy się wyobrażenie czegoś smutnego i ponurego. Tu jest wręcz przeciwnie: słońcu nikt nie tamuje przystępu, a na twarzach zakonnic uśmiech bywa częstym gościem. Córki św. Franciszka pamiętają, że ojciec ich duchowny śród najcięższych cierpień nie tracił wesołości.



SS. Franciszkanki M. M. odprawiające drogę krzyżową w krużganku klasztornym.

Śród zakonnic są przedstawicielki różnych narodowości, a więc i nasze rodaczki. Przełożoną misji w Biwasaki, w Japonji, jest Polka; pielęgnują tam trędowatych.

W ciągu dłuższego pobytu w Rzymie, miałam sposobność zapoznać się z celami i zbożną pracą zakonu, który budził we mnie coraz większą cześć, podziw i uwielbienie. Ożywia go duch ofiary i poświęcenia; hasłem jego służba Bogu i ludzkości. Kto zliczy dobre uczynki tych białych zakonnic! Łatwiej byłoby porachować gwiazdy na niebie.

Rozkaz przełożonej przerzuca je ze skwarnej Afryki do zimnej Kanady, ze stepów mongolskich do Peruwji, lub Oceanji. Nieraz w podróży narażone

są na wielkie trudy i niebezpieczeństwa; na miejscu dopiero uczą się języka, żyją częstokroć w okropnych warunkach, pozbawione wszelkich wygód, ale to nie osłabia ich gorliwości.

Stanąwszy na wyznaczonej placówce, z zapałem biorą się do nauczania katechizmu, pacierza i zasad moralności, co stanowi właściwe apostolstwo misyjne; zakładają szkoły i oprócz kilkunastu szkół gospodarskich, posiadają już 120 powszechnych i ogromną ilość ochronek w których wychowują dzieci murzyńskie, japońskie, czerwonoskóre i t. d. Zakonnice uczą też chłopców i dziewczęta różnych sztuk i rzemiosł i prowadzą seminarja nauczycielskie.



S. Franciszkanka M. M. dająca lekarstwo chorej Chince.

Razem z pracą oświatową idą dzieła miłosierdzia: leczenie chorych, wspieranie ubogich, odwiedzanie więźniów, utrzymywanie sierocińców, żłóbków i przytułków dla starców. Franciszkanki posiadają w swoich misjach 50 szpitali, a przez ich ambulatorja przesuwa się rocznie około 2 miljonów chorych. Przez udzielanie chrztu zdobywają kilkadziesiąt tysięcy dusz dla nieba rocznie.

Pomagają im w tej pracy Oblatki, czyli tubylcze zakonnice.

Ale szczytem poświęcenia i miłosierdzia jest pielęgnowanie trędowatych w 7-iu leprozerjach. Długo rozmawiałam z zakonnicą, która spędziła kilka lat śród tych najnieszczęśliwszych. Wiadomo, jak zaraźliwą jest ta choroba, tymczasem nie zdarzyło się jeszcze, żeby która Franciszkanka jej uległa. Czemu to przypisać? może postępowi antyseptyki, a może łasce Boskiej.

Opowiadała mi zakonnica, że nieraz zdarzyło jej się obcinać nożem przegniłą rękę lub nogę trędowatego. Chorym odpadają nosy, uszy, palce u rąk i nóg. Najcięższa jednak do zniesienia jest woń trupia w leprozerjach.

W Hyderabad, w Indjach, pielęgniarkami w szpitalu dla zadżumionych są Franciszkanki.

Matka przełożona wysyła zakonnice do domów misyjnych według swego uznania, ale do szpitali dla trędowatych jadą tylko ochotniczki. Zdarza się, że na wakujące trzy miejsca w leprozerjach, zgłasza się — 300 kandydatek. Ogółem jest 4470 zakonnic.

W r. 1877 założyła to zgromadzenie Bretonka z arystokratycznej rodziny de Chappotin de Neuville, genjalna zaiste kobieta i potrafiła dać mu silne podwaliny. Kiedy w r. 1900, podczas powstania Bokserów w Chinach zamordowano siedem Franciszkanek, matka przełożona — Marja od Męki Pańskiej, zwołała wszystkie zakonnice do kaplicy i pierwsza zaintonowała Te Deum.

Dziś, SS. Franciszkanki Misjonarki posiadają 185 domów w pięciu częściach świata.

Dzięki hojności hr. Szeptyckiego, który na ten piękny cel ofiarował pałac i park w Łabuniach pod Zamościem, Polska zyskała pierwszą placówkę franciszkańską, która niewątpliwie wpłynie korzystnie na organizację życia religijnego i u nas.

Zofja Sokołowska.



7 SS. Franciszkanek M. M. uwięzionych w Chinach w r. 1906.

Złote myśli

Życie prywatne ludzi oparte jest na prawie Chrystusa.

Życie dziejowe ludów pozostało jeszcze pogańskie. A oto dowody:

Gdy na ulicy zemdleje i upadnie człowiek, ludzie pospieszają mu na wyścigi z pomocą, gdy w ciągu dziejów omdleje naród, ludzie spieszą jeden przez drugiego, by go dobić.

Chrystusa niema jeszcze w historji. Gdy do niej zstąpi, pocznie się nowa epoka dla chrześcijaństwa i ludzkości.

Henryk Sienkiewicz.

* * *

Wiara bez dobrych uczynków jest jak drzewo bez owoców, miłość — jak matka bez dzieci; modlitwa — jak ptak bez skrzydeł.

X. Piotr Skarga.



Dom SS. Franciszkanek M. M. w Łabuniach p. Zamościem.



Zakonnice wracające z wychowankami od żniwa.

Zofja Sokołowska

Co starościc zdobył na wojnie

28) Powieść z XVII-go wieku.

(Ciąg dalszy)

Starościc spieszył ku największemu namiotowi, przed którym powiewały trzy buńczuki, sądził bowiem, że tam znajdzie sułtana Adżi Giraja, ale młody wódz już dosiadł rączego rumaka i nie próbując nawet obrony, myślał jeno, jakby ratować życie. Sokole oczy starościca dojrzały go jednak, pędzącego samotrzeć ku Dniestrowi, pomknął więc za nim jak wicher. Gniadosz dany mu przez hetmana, koń wielkiej krwi, leciał, jak gdyby miał skrzydła i odległość między jeźdzcami wciąż się zmniejszała.

Dwaj Tatarzy, towarzyszący bratu chańskiemu, chcieli ocalić go, choćby kosztem własnego życia i zwolniwszy biegu, z dwóch stron napadli na starościca, ale nie im było mierzyć się z takim przeciwnikiem! Młody rycerz z łatwością odbił ich cięcia, pchnął jednego w piersi, drugiego w szyję i obu położywszy trupem, gonił dalej za Adżi Girajem. Ten, słysząc tuż za sobą tętent, odwrócił się z dobytą szablą, ale w tymże momencie starościc ciął go w głowę. Młody książę, zalany krwią, zwalił się na ziemię; starościc zabrał mu buławę i wierzchowca, zostawiając go, jako umarłego.

Adżi Giraj żył jednak. Gromada uciekających Tatarów znalazła go zemdlonego, ocuciła i zawiozła do Kamieńca. Tam zajęli się nim medycy i wyleczywszy go, odesłali na Krym.

Kiedy starościc wrócił do obozu, nie zastał już w nim ani jednego żywego Tatara. Uwolnione z jasyru panny i niewiasty cisnęły się do hetmana, padały mu do nóg, całowały kraj jego płaszcza, błogosławiąc go ze łzami. On zaś lubo zajęty wydawaniem rozkazów i rozsyłaniem gońców, troszczył się o dziatki sieroty, kazał zbierać je wszędzie, płacąc za każde odnalezione maleństwo i wreszcie na kilkunastu wozach odesłał je do Kałusza, kędy dzięki złotemu jego sercu i hojności, miały zapewniony wikt i wychowanie.

W tej wiekopomnej wyprawie, genjusz Sobieskiego świetny odniósł triumf; orda była rozbita, ogromna połać kraju oswobodzona od najazdu, 100 tysięcy jeńców uwolnionych, wszystkie chorągwie tatarskie wpadły w ręce Polaków, którzy bardzo małe ponieśli straty.

Mimo to na dorodnem obliczu hetmana nie było dumy i radości, jeno troska, ból i wstyd, albowiem ledwie uporał się z resztą Tatarów, ukrywających się po jarach i komyszach leśnych, kiedy nadeszła wiadomość o zawartym 16 października haniebnym traktacie bucząckim, którego mocą Polska odstępowała Turcji Ukrainę i Podole i miała płacić roczny haracz, stając się lennikiem Porty.

Lwów wykupił się za 80 tysięcy talarów.

Gawęda Kunegundy Petroneli Obleciświatowej

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Już w zeszłym tygodniu chciałam do Was, Kochani Czytelnicy, skreślić kilka słów krótkich zwęzłowatych, tak prawdziwie po kobiecemu chciałam Wam dokumentnie opowiedzieć, jak się Janek ze mną rozmówił, jak Jagusiną sprawę załatwił, ale jakoś nie mogłam wydołać z robotą. Chwili czasu wolnego nie miałam, aby chwycić za pióro i do pisania się zabrać. Bałam się też trochę zanosić co tydzień swoje bazgroty do redakcji naszego kochanego Przewodnika Katolickiego. Nie chciałam się w oczy wstawiać redaktorowi, bo chociaż jestem pracowitą żoną Janka Obleciświata, toć jednak Jankiem nie jestem i nie mam takiego jak on miru w redakcji, a zresztą jako wstydliwa niewiasta nie lubię się pchać gdzie mnie nie proszą.

Janek to co innego. Jego to ksiądz redaktor często po ramieniu poklepie, do przyjścia niejeden raz zaprasza, pogawędzi o tem i owem, rękę nieraz mu uściśnie, a na pożegnanie to każe w domu wszystkich serdecznie pozdrowić. Tak się Jankowi dzieje, ale ja to co? Nie liczą się i tyle.

Ten raz spróbuję jeszcze do redakcji zanieść moje pisanie. Na kopercie napiszę wielkiemi literami „gawęda", pocichutku wejdę do redakcji, położę na stole i wymknę się cichaczem, że mnie żywa dusza nie zobaczy. Co po moim odejściu powiedzą, gdy gawędę zobaczą już nie usłyszę, więc mnie serce nie będzie bolało.

Zresztą nie taki djabeł czarny jak go malują.

Piszę tę gawędę w nadziei, że ją jednak czytać będziecie, a mnie ulży na duszy, że się przed Wami ze wszystkiego wypowiem.

W ostatniej gawędzie na samem końcu pisałam, że Janek, mój małżonek przyobiecał rozmówić się ze mną. Jak powiedział tak się stało. Kiedy Jagusia poszła już do domu Janek tak się do mnie odezwał:

— Bój się Boga, kobieto, czyś rozum postradała na stare lata, że Jagusi radziłaś, aby się z mężem swoim rozeszła, żeby pozwoliła chłopu, który ma dziewięcioro dzieci za innemi kobietami latać. Czy ty wiesz, co to znaczy raz od siebie chłopu pozwolić odejść. Czyś nie czytała w Przewodniku Katolickim, jak to ksiądz redaktor tyle razy artykuły pisał o małżeństwie — mówił Janek i spojrzał na mnie, że aż mnie ciarki przeszły i mrówki po plecach zaczęły mi chodzić. Nie odezwałam się ani słowem. Po pierwsze zawsze lepiej trzymać język na wodzy, aż chłop się nie wygada, a po drugie musiałam przyznać, że Janek mówił święta prawdę.

Tyle razy czytałam w naszej gazetce takie piękne artykuły o nierozerwalności małżeństwa, pamiętam słowa nawołujące do poprawy, przypomniała mnie się zaraz przysięga, którą sama wypowiedziałam „przy ołtarzu wobec Boga i księdza", a iż cię nie opuszczę aż do śmierci, a przecież wtedy gdy Jagusia była, to jakby mnie omroczyło, że nie myślałam o tem wszystkiem.

Jak się stało, żeśmy tak obie głupio z Jagusią uradziły, nie rozumiem wcale.

Panu Bogu i Matce Najświętszej dziękuję stokrotnie, że Janek nadszedł wtedy i że tę całą sprawę naprawił i ułagodził.

Zaraz opowiem wszystko do końca.

Kiedy mi już Janek wszystko wyjaśnił i wytłumaczył, położył przedemną grubą księgę Przewodnika Katolickiego za zeszły rok, oprawioną w śliczne zielone płótno i tak powiada:

— Babskiej głowie jakoś pamięć się nie ima. Przejrzyj tylko, moja Kundziu, cały ten rocznik, wyszukaj wszystkie artykuły, jakie ksiądz redaktor pisał o małżeństwie, o dozgonnej wierności małżonków, a przypomni ci się wszystko, co przez cały rok głośno czytałem niedzielę przy niedzieli.

Pokiwałam głową, bo mnie się te wieczory ciche zimowe przy lampie przypomniały, kiedy to Janek czytał na głos Przewodnika, a myśmy szyjąc słuchały go i otworzyłam książkę.

Dziw nad dziwy,

Otworzyłam akuratnie na tej stronnicy, gdzie od samej góry wielkiemi literami napisane „w obronie

XVIII.

Kiedy w pierwszych dniach grudnia r. 1671 Świtała przywiózł do Gozdawina smutną wieść o śmierci młodego pana, starościna chwyciła się za serce i padła na ziemię. Panna Symforja i Marysia rzuciły się do jej ratowania, ale wszystkie starania były daremne: kiedy podniesiono ją, już nie żyła.

Marysia odchodziła od zmysłów z wielkiej żałości: odrazu straciła dwie najukochańsze istoty i dopiero teraz miała poznać gorycz sierocej doli. Ale nieszczęście ma złowrogą magnetyczną siłę, która inne złe przyciąga: starosta, niepocieszony po stracie najlepszej żony i umiłowanego jedynaka, w kilka tygodni później rozchorował się ciężko i chociaż na razie został uratowany, do końca życia miał być przykuty do łoża... Po Nowym Roku umarł zacny x. Lechoń.

Rządy w Gozdawinie objęła chorążyna i od tego czasu dla biednej Marysi zaczęły się dni pełne bólu, smutku i upokorzeń. Pielęgnowała starostę z poświęceniem córki i chory tak przywiązał się do niej, że chorążyna nie mogła oddalić jej z ojcowskiej komnaty, za to nie pomijała żadnej sposobności, żeby dopiec sierocie i poniżyć ją, wiadomo zaś, jak pomysłowe są pod tym względem białogłowy.

Na szczęście, obecność jej była też potrzebna w Ciechomicach, gdzie pod kierunkiem preceptora, chowało się czterech synów, a mąż nie śmiał sprzedać korca żyta, ani kulawej kobyły bez wiedzy magnifiki.

Marysia zawsze z uczuciem ulgi patrzyła na odjazd swej dręczycielki; już jej nie kłuły zjadliwe słówka i obelgi p. chorążyny, nie mroziły lodowate jej oczy. Mogła płakać swobodnie i rozmawiać ze starostą, o ukochanych zmarłych. Smutek i żałoba zapanowały w domu, w którym było niegdyś tak wesoło.

Tymczasem do Chojnowej Woli młodzież przyjeżdżała w komendy, gdyż kasztelanka wcale nie zamierzała opłakiwać długo narzeczonego. Już w zapusty odbyły się zrękowiny jej z wojewodzicem Gostomskim, a po Zielonych Świątkach panna Małgosia stanęła z nim na ślubnym kobiercu.

Starosta przykuty chorobą do łoża, zgnębiony nieszczęściami, zdał wszystkie interesy na córkę, jedyną teraz dziedziczkę całego mienia, chorążyna była tu zatem samowładną panią.

Raz, w sierpniu podczas jej bytności w Gozdawinie, oddano jej list z poczty, adresowany do ojca. Umiała ona panować nad sobą, a jednak na widok tego pisma, zmieniła się na twarzy i zawarła drzwi swojej komnaty. Wtedy dopiero wzięła się do czytania listu, w którym starościc donosił rodzicom o swoim powrocie z niewoli.

Chorążyna długo siedziała nieruchoma, sprzecznemi miotana uczuciami. W pierwszej chwili ucieszyła się, ale wnet zimna rachuba zmroziła gorący poryw serca; na białem czole jasnowłosej pani osiadła chmura, ściągnięte brwi świadczyły o głębokim namyśle.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

sakramentu małżeństwa". Otwieram dalej artykuł „walka o sakrament małżeństwa" i tyle jeszcze innych artykułów spostrzegłam, o których dawno już zapomniałam. Miał Janek rację, wszystko człowiek czytał, a jakoś wszystko mu z głowy wyleciało. Zatrzymałam się do późna i nie spostrzegłam nawet, że Janka w domu niema. Późno już było, gdy poczułam jego rękę na moim ramieniu:

— No i cóż Kundziu, przypomniałaś sobie te wszystkie artykuły, te nauki, jakie czytałem ci głośno.

— Przypomniałam sobie Janku, przypomniałam, ale widzę teraz, że trzeba było czytać je częściej, a nie byłabym takich głupstw Jagusinych słuchała i jeszcze doradzała jej rzeczy niepotrzebne. Co teraz zrobić, aby Jagusi wyperswadować, aby tak nie zrobiła jak uradziłyśmy.

— Już się tylko ty do perswazyj nie zabieraj. Byłem właśnie u nich i wszystko już w porządku. Pogadałem z Antkiem (Jagusi mężem) i przekonałem się, że to nie zły chłop, wygarnąłem mu rzetelnie i wiem, że będzie między nimi zgoda. Kocha on dzieci, kocha po swojemu Jagusię, a że mu się pannica przyplątała i na to znajdę radę, powiedziałem Antkowi, że już ja ją sam odplączę, a jak nie będzie innej rady na nią, to od czego mój sękaty, odechce się babie pod cudze okna zaglądać.

— O Janku, jakiś ty poczciwy i mądry chłop — powiedziałam, a Janek spojrzał na mnie i uśmiechnął się:

— Czy ty wiesz moja Kundziu skąd mnie się ta mądrość bierze?

— A no z głowy, odrzekłam.

— Juści, że z głowy, ale jak łeb pusty to i mądrość — z niej nie wylezie. Otóż wiedz moja kobieto, że to co wiem, zawdzięczam tylko naszej kochanej gazecie, naszemu Przewodnikowi Katolickiemu, którego czytam od czasu jak zaczął wychodzić. Cała moja mądrość, którą dziś tak zachwalasz, to mądrość z Przewodnika Katolickiego. Czyta tę naszą kochaną gazetkę wiele, wiele ludzi ale niewszyscy z uwagą ją czytają. Pamiętaj o tem, że to co tam napisane, to co ksiądz redaktor w niej podaje, trzeba przeczytać nie raz, ale dwa trzy razy, aby w łeb się wbiło, aby człowiek zapamiętał wszystko, a jak potrzeba to z łba, jak z torby wytrząsnął dobrą radę dla siebie czy dla przyjaciela.

— Oj prawda Janku prawda, że w domu katolickim najpotrzebniejsza porządna gazeta, taka, która nie zamąca nam rozumu, ale która podaje tylko wiadomości prawdziwe, rzetelne i katolickie.

— Tak moja kobieto, ale tą gazetę trzeba czytać od początku do końca, a nie tak, aby przerzucać tylko kartki, obrazki oglądnąć i na bok odłożyć.

— Toć czytałam zawsze bardzo dokładnie całego Przewodnika, Janku.

— Widziałem, żeś czytała, ale nie czytałaś tak jak czytać powinnaś, bo ci już wszystko z głowy wywietrzało. Pamiętaj o tem, że na nowy kwartał zaabonuję jak zawsze naszego Przewodnika, ale teraz będziemy go znowu razem głośno czytywać, abyś to wszystko co tam napisane lepiej spamiętała.

Tak się skończyła nasza rozmowa z Jankiem, a ja całą piersią odetchnęłam, że sprawa Jagusi już załatwiona, że Janek im tak dobrze poradził. Pocichu też sobie przyrzekłam, że będę tą naszą ulubioną gazetkę czytać od deski do deski, będę się starała o to, aby wszyscy moi znajomi zaabonowali na nowy kwartał Przewodnika, aby mogli tak samo jak Janek, sobie i innym radzić w potrzebie.

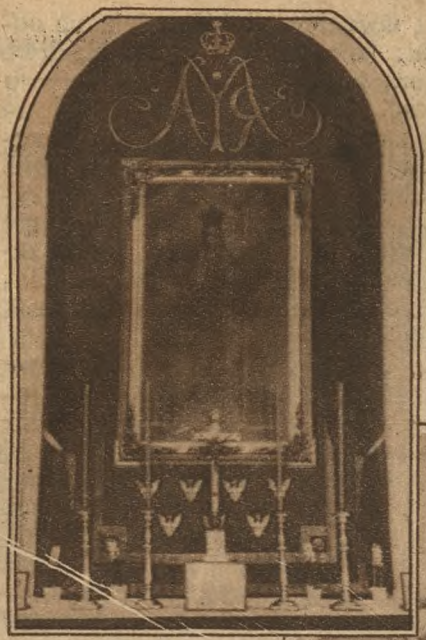
Spieszcie się, kochani Czytelnicy, z odnowieniem abonamentu, gdyż stanie się wam tak jak mnie w zeszłym kwartale. Poszłam w ostatnich dniach zamówić Przewodnika i czekać musiałam w ogonku przez dwie godziny, jak dawniej podczas wojny na kartki chlebowe. Byłabym jednak dłużej stała, byle mieć to kochane pismo w domu, bez którego się obyć nie mogę, jako pewnie i wy, moi kochani czytelnicy.

Kończę tę gawędę okrzykiem na cześć Przewodnika Katolickiego, który mego Janka i nas wszystkich uczy wszystkiego co dobre i pożyteczne:

Niech żyje Przewodnik Katolicki i niech ma jak najwięcej abonentów nam na pożytek, a Bogu na chwałę.

Kunegunda Petronela Obleciświatowa.

Uroczystości kodeńskie



Obraz Matki Boskiej Kodeńskiej.

Oczy nasze w ostatnich tygodniach były zwrócone ku Kodniowi, gdzie odbywały się wspaniałe uroczystości przeniesienia cudownego obrazu Matki Boskiej do świątyni kodeńskiej.

Obraz ten ma poza sobą długą historję, opartą częściowo na pięknych legendach. Według jednej z nich miał św. Łukasz, który nietylko był malarzem ale i dłóta się imał, wykonać figurę Matki Boskiej. Figura ta, która wnet zasłynęła licznemi cudami, różne przechodziła koleje, to była w Carogrodzie. to znowu w Rzymie, wreszcie znalazła się w Hiszpanji. Papież św. Grzegorz Wielki, który zezwolił na to, by figura pozostała w Gwadalupe. w Hiszpanji, pragnął mieć jednak jak najwierniejszą jej kopję. Dlatego polecił św. Augustynowi, późniejszemu apostołowi Anglji, by odmalował figurę Matki Bożej na płótnie. To się też stało. Na nowo teraz obraz Matki Boskiej zasłynął cudami.



Z boku: Procesja z cudownym obrazem do świątyni kodeńskiej.

Jakżeż jednak obraz ten dostał się do Polski? Stało się to w sposób dość dziwny, ale był w tem wyrok Opatrzności.

Żył na początku 17 wieku na Podlasiu Mikołaj Sapieha, magnat bardzo pobożny, zasłużony około dobra ojczyzny, gdyż brał udział czynny w wojnach tatarskich, kozackich, szwedzkich i moskiewskich. Niemało także przyczynił się do podniesienia życia religijnego w Kodniu, czyniąc hojne zapisy na rzecz kościoła i zakonów. Przy swej zbożnej działalności jednak magnat zapadał bardzo często na zdrowiu. Nawet najsławniejsi lekarze nie pomogli. Wtedy uczynił ślub, iż aby odzyskać zdrowie, odprawi pielgrzymkę do Rzymu.

Rzeczywiście niebawem udał się do wiecznego miasta. Papież Urban VIII przyjął go bardzo łaskawie, a gdy usłyszał o celu pielgrzymki, przyrzekł odprawić mszą św. na jego intencję przed cudownym obrazem Matki Boskiej, o którym wyżej była mowa. Podczas tej mszy św. Sapieha uczuł się nagle w cudowny sposób uzdrowiony. Z ogromnej miłości dla Matki Boskiej postanowił kupić cudowny obraz, ale dowiedział się, że to niemożliwem. Wtenczas strzeliła mu szaleńcza myśl: postanowił ukraść obraz i uciec z nim do kraju. Tak też uczynił. Nocą uchodził z Rzymu z cudownym swoim





X. Biskup Przeździecki wręcza 100 letniemu obywatelowi Kodnia dyplom i order papieski.



Minister Dobrucki wręcza krzyż zasługi obywatelom Podlasia.

W owalu: Msza św. przed cudownym obrazem; celebruje X. arcybiskup Sapieha.

skarbem. Nie pomogły gońce papieskie, nie pomogło strzeżenie wszystkich dróg — magnat z świętym obrazem przybył do Kodnia.

Tutaj cudowny obraz wnet stał się ośrodkiem całego życia religijnego. Wybudowano śliczną świątynię, lud gromadził się licznie, a z dalekich stron przybywały pielgrzymki, aby Matce Bożej złożyć hołd i błagać o pomoc w najrozmaitszych utrapieniach. Wysłuchiwała Matka Boża te prośby, bardzo licznemi cudami dawała dowód, że ukochała ten lud kodeński i pragnie zostać wśród niego. Smutne czasy nadeszły dla Kodnia z chwilą rozbiorów Polski. Rozpoczęły się krwawe prześladowania wiary i polskości. Po Podlasiu rozniosły się jęki mordowanych niewinnie za wiarę unitów, którzy na prawosławie przejść nie chcieli. Lud podlaski z obrazu kodeńskiego dziwną jakąś czerpał otuchę do przetrzymania tych ciężkich czasów. Musiało to podpaść katom moskiewskim. To też, aby osłabić opór wiernych, rząd rosyjski postanowił usunąć cudowny obraz z Kodnia.

W dniu 10 lipca 1875 r. generał-gubernator warszawski Kotzebue podpisał reskrypt, według którego kościół katolicki w Kodniu oddano w zarząd władzy duchownej prawosławnej. Jednocześnie postanowiono przewieźć obraz Matki Boskiej do Częstochowy. Serca wiernych Podlasian zostały jednak przy cudownej Matce Boskiej, ich modlitwy biegły do Częstochowy, gdzie obraz pozostawał pod troskliwą opieką o. Paulinów.

Tymczasem minęły lata niewoli, nic dziwnego więc, że lud podlaski żądał powrotu cudownego obrazu. Widział w nim najdroższy swój skarb. Z Częstochowy obraz przewieziono do Warszawy, gdzie go poddano gruntownemu odnowieniu przez prof. J. Rutkowskiego. Dziwne zaiste wyroki Boże! W stolicy polskiej obraz był świadkiem włożenia biretu kardynalskiego Prymasowi Polski przez najwyższą głowę Rzeczypospolitej! Jak zmienił się obraz dawnej uciśnionej Polski! Jakiej chwały doznał ten sam obraz, który był przedmiotem prześladowań wrogów!

Z Warszawy szedł obraz długim pochodem do ziemi Podlaskiej. Robił postoje na najrozmaitszych miejscach, bo wierni wszędzie chcieli powitać znowu Matkę swoją. A więc naprzód w stolicy biskupiej w Siedlcach, i to przez 3 dni w kaplicy tamtejszego seminarjum duchownego podczas rekolekcyj kapłańskich, potem w katedrze siedleckiej, potem w Tarnopolu, Międzyrzeczu, Białej, Zbuczynie, Brzesku i Herbowie.

Wreszcie w niedzielę 4 września cudowny obraz stanął w Kodniu. Już od soboty szły przeliczne pielgrzymki, witane po drodze bramami triumfalnemi, a u wrót Kodnia salwami armatniemi. Stanął w Kodniu i potomek Mikołaja, sprawcy świętej kradzieży, X. arcybiskup Sapieha. W dzielnicy miasta, zwanej Placencją, urządzono ołtarz polowy, na którym umieszczono cudowny obraz. Przez całą noc z soboty na niedzielę tysiące ludzi klęczało przed wizerunkiem, upadając ze zmęczenia, ale wytrwale śpiewając chwałę Matki Bożej.

Już od rana w niedzielę odprawiają msze św. XX. biskupi Przeździecki, Sokołowski, Owczarek.

Suma jednak i kazanie odprawić się mają na rynku kodeńskim, dokąd w pochodzie przenieść się ma obraz.

Więc długie szeregi stają do pochodu: naprzód wojsko, potem sokoli, strażacy, banderje chłopskie i osadników kresowych, setki chorągwi i feretronów, dziewczęta w bieli, szkoły, klerycy, zakonnicy, kapłani, a wreszcie 5 biskupów z X. arcybiskupem Sapiehą i biskupem podlaskim X. Dr. Przeździeckim na czele. Wzruszający był widok 30 starców, byłych męczenników za Unję, którzy zasiedli w otoczeniu 200 księży i książąt Pawła i Eustachego Sapiehów, przybyłych z małżonkami i z matką.

W imieniu P. Prezydenta Rzeczypospolitej oznajmił p. minister Dobrucki, że 30 zasłużonych Podlasian otrzyma oznakę „krzyża zasługi" za dzielną obronę wiary i ojczyzny. Była to chwila rozrzewniająca do łez, gdy następnie p. minister dekorował piersi tych, co bronili wiary i narodowości swej przed prawosławiem. Poczem X. arcybiskup Sapieha celebrował solenne nabożeństwo przed cudownym obrazem. Po ewangelji X. prałat Ryster odczytał z ambony list pasterski X. Biskupa podlaskiego, ilustrujący historję świętego obrazu i oddający go w opiekę oo. oblatów, którzy będą stróżami cudownego wizerunku. Poczem sam pasterz diecezji X. biskup Przeździecki wygłosił uroczyste kazanie. Aparaty radjowe rozniosły je po całej Polsce. Tysiące ludzi, nietylko obecni na samej uroczystości, ale i w najrozmaitszych stronach naszego kraju słuchało z przejęciem o dziejach cudownej Matki Boskiej kodeńskiej, o jej łaskach i cudach, o tem, jak ona była symbolem jedności rozdartego narodu i hasłem wytrwania w prześladowaniach.

Po nabożeństwie X. prałat Ryster odczytał krótki życiorys każdego z 30 zasłużonych odznaczonych już krzyżem zasługi, a każdy życiorys stawił obecnym przed oczy prawdziwe dzieje męczeństwa Podlasia. Następnie X. biskup Przeździecki dekorował na nowo 30 starców orderami „Pro Ecclesia et Pontifice" nadesłanemi przez Ojca św.

Po uroczystem Te Deum obraz w procesji 40-tysięcznego tłumu rozśpiewanego i rozrzewnionego do głębi, wniesiono do kościoła, gdzie spoczął na ołtarzu. Wspomnienia tej podniosłej uroczystości na długie lata pozostaną w pamięci obecnych, a lud podlaski nowych zaczerpnął sił do pracy nad duszą swoją i umocnieniem przywiązania swego do wiary i ojczyzny. Bo obraz Matki Boskiej kodeńskiej stał się symbolem tych ideałów. *Jot.*

Do naszych abonentów pocztowych!

Tylko od 15 do 25 b. m.

przyjmują listowi abonament pocztowy na **IV. kwartał, na miesiąc październik** wzgl. **październik i listopad 1927.**

Kto nie chce się narazić na przerwę w dostarczaniu pisma, niech wypełni załączony w dziale ogłoszeń niniejszego numeru kwit pocztowy i wręczy go listowemu, który po kilku dniach przedłoży kwit pocztowy i ściągnie prenumeratę **2,— zł. na kwartał, 0,67 zł. na 1 miesiąc, lub 1,33 zł na 2 miesiące.**

Zwracamy szczególną uwagę na to, iż ceny powyżej podane **obowiązują tylko abonentów, którzy zamawiają i opłacają pismo wprost w Urzędzie pocztowym, a którym poczta dostarcza pismo przez listonosza bez opaski.**

Abonenci zaś otrzymujący pismo wprost z Administracji pod opaską, płacą kwartalnie 2,40 zł.

Prosimy regulować przedpłatę!

Szanownych Abonentów, pobierających pismo w większych ilościach wprost od nas z Poznania, a zalegających jeszcze z przedpłatą na bieżący kwartał, bardzo uprzejmie **prosimy o jak najwcześniejsze wniesienie prenumeraty stosownie do doręczonych im rachunków.**

Wobec tego, że wszystkie bez wyjątku należytości z tytułu abonamentu płatne są przed upływem kwartału, gorąco niniejszem uwadze Ich polecamy wypełnienie powyżej wymienionej prośby **najpóźniej do 19. września b. r.**

O ileby Administracja do tego terminu nie była w posiadaniu przedpłaty, **zastrzega sobie prawo ściągnięcia należytości wraz z kosztami pobraniowemi zaliczką pocztową przy wysyłce Nr. 39. Uprzejmie zatem prosi o wniesienie prenumeraty w terminie wzgl. o zawiadomienie na piśmie, kiedy pokrycia na pewno oczekiwać może.** Niniejsza odezwa **nie dotyczy kolporterów pisma.**

Dożynki u Pana Prezydenta





U góry na lewo: Wręczenie p. Prezydentowi wieńca dożynkowego przez delegacje.

Na prawo: Malownicze stroje Kurpianek i Łowiczanek.

Z boku: Uczestniczki zjazdu ochroniarek w Poznaniu z patronem swoim X. dziek. Rankowskim.



Na dole: Z życia Młodych Polek w obozach letnich w Kórniku (p. artyk.)

Na lewo: Młode Polki przy obiedzie.

Na prawo: Młode Polki cerują pończochy.







Pomnik Poległych w powstaniu wielkopolskiem w Miejskiej Górce.



Poświęcenie krzyża w Sokolígórze.



Niebywały okaz owcy z wystawy angielskiej, za którą zapłacono przeszło 200 tys. zł.

Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Katolicki" wynosi za egzemplarze osobiście odbierane w ekspedycji i agencjach poznańskich 1,65 zł. Za egzemplarze wysyłane w opasce pod adresem imiennym w ilościach od 1 do 9 egz. po 2,40 zł., od 10 do 59 egz. po 2.— zł., od 60 egz. wzwyż po 1,65 zł. Dla abonentów pocztowych przedpłata kwartalna wynosi 2.— zł., miesięczna po 67 groszy za każdy miesiąc łącznie z kosztami manipulacyjnemi.
Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki".

W pogoni za natchnieniem

Opowiedziała Jawnuta.

(Dokończenie.)

— Mój mąż — chwaliła się Leonja — przyjechał tutaj, aby napisać powieść.

— Niech przynajmniej nie pisze nic o nas! — zawołała pani X., żona cukiernika z Krakowa. — Ci panowie literaci lubią każdemu przypiąć łatkę, ja zaś więcej niż ognia, boję się rozgłosu. Nie myliłam się, mówiąc, że ten pan przypatruje nam się z taką miną, jakby nas chciał opisać w humorystyczny sposób.

— O nie, mąż mój humoresek nie pisze! To za niskie, za błahe dla jego talentu! On przyjechał tu jedynie w celu poznania górali. Trzeba widzieć, jak się ich wypytuje, jak z nimi rozmawia! a jednocześnie wyraz twarzy ma tak obojętny, jakgdyby go nic nie obchodziło. Widzą panie naprzykład tego druciarza? Mnie postać jego nic nie mówi, bo widzę w nim tylko młodego górala i nic więcej, a tymczasem mąż mój w przeciągu pięciu minut dowiedział się od niego mnóstwo ciekawych rzeczy i skreślił zaraz, na poczekaniu jego charakterystykę. To znakomity znawca dusz. W owej chwili szuka on pomysłu, natchnienia i dlatego bywa zawsze tak zamyślonym, ponurym lub roztargnionym. Ale niech tylko znajdzie treść do swego utworu, to zaraz zmieni się do niepoznania. Zobaczą panie, jak on umie być dowcipnym i wesołym. Lecz co widzę? on tędy przechodzi! Cicho! sza!... Proszę nie odzywać się do niego. Jeżeli mu kto przeszkodzi, to idea mu się wyślizgnie, a będzie to niepowetowaną stratą dla literatury. On teraz chodzi, jak lunatyk, nie rozpraszajmy jego natchnienia!

— Mój mąż jest budowniczym, — zauważyła ironicznie jedna z pań, — więc musi również szukać rozmaitych pomysłów do swoich budowli, a jednak to mu nie przeszkadza rozmawiać z ludźmi.

— Córeczka moja ma dopiero lat siedem — dodała druga — lecz gdyby była dorosłą i gdyby jaki literat prosił mię o jej rękę, to odmówiłabym mu bez namysłu, choćby był nawet członkiem Akademji.

— Ach! Akademja! — skrzywiła się pogardliwie pani Leonja — mój Dezydery, gdyby tylko zechciał, mógłby zostać oddawna jej członkiem. Lecz oto znowu tu się zwraca!... Jaki jest pogrążony w swych myślach! Oby tylko nie zachorował!

Spodziewała się jeszcze, że dalsze podróże, zmiana otoczenia i powietrza wpłyną dodatnio na twórczość jej ukochanego. Opuściwszy więc Zakopane, zwiedzili Austrję, Niemcy, Szwajcarję wciąż z takim samym skutkiem. Gdy wieczorem po całodziennej wędrówce wracali do hotelu i po spożyciu kolacji znaleźli się w swoim pokoju, Leonja wzywała często męża do otwartego okna, mówiąc:

— Odpocznij choć na chwilę, mój najdroższy, od ciągłego umysłowego wysiłku. Patrz, jak tu ślicznie, jak gwiazdy migocą! Pogawędźmy sobie trochę, jak dawniej bywało, bo zapomniałam już prawie dźwięku twego głosu. Zobaczysz, że jutro świetny nastręczy ci się temat do twojej powieści!

— Hotel nie może mi dać natchnienia — odpowiadał zwykle Dezydery. — Jutro stąd wyjedziemy. Idea już się rodzi w moim umyśle, lecz się jeszcze nie skrystalizowała.

Tak znaleźli się więc we Francji. Przypomniawszy sobie, że Sienkiewicz lubił przebywać w Bretanji i napisał tam kilka różnych ślicznych rzeczy, Dezydery postanowił pójść za jego przykładem i po całych dniach w milczeniu przebiegał wybrzeże morskie, lub całemi godzinami przesiadywał przy biurku, patrząc na wzburzone fale, ale zawsze napróżno. Natchnienie, jak nie przychodziło — tak nie przychodziło, pomimo ciągłego przesuwania się, jak w kalejdoskopie coraz to nowych ludzi i obrazów. Postanowili więc szukać szczęścia w Hiszpanji. Tam w oddali rysowały się przed nimi wspaniałe górskie szczyty, a u ich podnóża malownicze wsie i miasteczka, tu i owdzie zaś na skałach zwaliska średniowiecznych zamków, przeważnie w gruzach, z herbami na bramach, zniszczonych zębem czasu. Dezydery wciąż milczał. Przyglądali się walce byków, pływali w Bidassoa o zachodzie słońca pod niebem oblanem złotem i purpurą. — Dezydery wciąż milczał. Pewnego razu na zakręcie drogi zostali uderzeni pięknością niewidzianego dotąd widowiska: przy świetle pochodni świątecznie ubrana młodzież tańczyła ochoczo narodowe fandango. Nazajutrz ścigała ich wściekła krowa, tak, że musieli wdrapać się na wóz z sianem, aby uniknąć niebezpieczeństwa. Pomimo tak różnorodnych wrażeń natchnienie było nieubłagane i Dezydery wciąż milczał. Zmarszczywszy czoło, patrzył ciągle przed siebie z miną człowieka, tworzącego wśród okropnej męczarni ducha wspaniałe, niesłychane obrazy.

Wtedy nie śmiejąc przerwać tego uroczystego milczenia, Leonja próbowała rozmawiać z nim piśmiennie i przy uścisku dłoni wsuwała mu z pośpiechem drobne kartki, tak, jak on za lepszych, narzeczeńskich czasów wsuwał jej liryczne swe poezje. Były to odezwy tej treści: „Nie jedz za dużo baranich kotletów z kartoflami, bo ci to szkodzi“ — albo: „Uwielbiam cię, mój drogi! Odpowiedz mi choć skinieniem głowy; będzie to dla mnie pociechą w naszym pustelniczym trybie życia“ — albo wreszcie: „Wiem, co to twórczość literacka, ale może zamienisz ze mną choć słów kilka; to cię rozerwie. Uprzedź mnie, kiedy znajdziesz nareszcie swój temat do powieści, wtedy odpoczniemy choć trochę“.

Niestety, stopniowo Dezydery przestał zupełnie mówić i doszło do tego, że wydawał już tylko jakieś niezrozumiałe dźwięki. Niespokojny wzrok jego ze smutkiem zatrzymywał się na ludziach i otaczających przedmiotach, jakby siłą swego pragnienia chciał im wydrzeć jakąś tajemnicę. Tymczasem zasób pieniędzy wyczerpał się stopniowo i Leonja z trwogą myślała o chwili, w której zupełnie ich zabraknie. Co będzie, jeżeli pomimo tylu ofiar nie przyjdzie upragnione natchnienie i będą musieli wrócić na bruk warszawski z tem, z czem wyjechali? Zrobili wreszcie ostatni wysiłek i udali się do Włoch. Znajdowali się właśnie nad przecudną zatoką neapolitańską. Było to w nocy. Dokoła panowała uroczysta cisza, przerywana tylko odgłosem pieśni jakiegoś spóźnionego rybaka:

Spiesz barko moja,
Pogoda sprzyja,
Niech cię prowadzi
Santa Lucia!

Ciemno-szafirowe niebo... tajemnicza cisza... spokój niezamącony niczem...

— Jak tu cudnie! — z zachwytem wyszeptała Leonja.

Lecz nagle Dezydery, znajdujący się od paru godzin w stanie niezwykłego podniecenia, schwycił ją za rękę i prawie nieprzytomny z radości, zawołał:

— Już mam! Znalazłem!... Znalazłem!...

— Co za szczęście, mój drogi! Powiedzże prędzej. Nie męcz.

— Wezmę jedną mieszczańską rodzinę, zamieszkałą na Nowym Świecie i drugą w Alejach Ujazdowskich. Między niemi zajdą rozmaite nieporozumienia, a wreszcie straszna kłótnia, bójka, lub może pojedynek. Tak, lepiej pojedynek. Muszę się postarać, aby odmalować należycie różnorodne charaktery, usposobienia, pojęcia. Będzie to coś w rodzaju „Chłopów“ Reymonta, tylko z mieszczańskiej sfery i lepsze, o! stokroć lepsze!... Wybornie! Zdaje mi się, że już czuję miłą woń Saskiego ogrodu i Łazienkowskiego parku. Ile pracy mię czeka, jeżeli zechcę tam umieścić główne, najbardziej sensacyjne epizody akcji... Gdybyśmy nie byli tak daleko, w tej chwili chwyciłbym pióro... Poczekaj, zdaje mi się, że na rogu Alei Ujazdowskich jest jakaś cukiernia... Może niech tam wybuchnie pierwsza sprzeczka między bohaterami powieści... Jutro wracamy do Warszawy!...

Obozy letnie Związku Młodych Polek w Kórniku

Powyższe obozy letnie zgromadziły w r. b. 154 Młodych Polek, które w dwutygodniowym kursie wychowania fizycznego przygotowały się do rozpoczęcia tego ważnego działu pracy w swych stowarzyszeniach.

Kierownictwo ćwiczeń fizycznych spoczywało w rękach 4-ch pań instruktorek, przedstawicielek Studjum Wychowania Fizycznego, przy Uniwersytecie Poznańskim. Poza tem, była stale zapewniona opieka lekarska, którą sprawowała p. dr. Mężyńska.

Dziewczęta, biorące udział w kursie, to dziewczęta często z warstw najbiedniejszych. Trudne warunki domowe, mieszkaniowe, zbyt wcześnie nieraz gaszą oczy, zbyt wcześnie zadumą pokrywają twarze. Aż tu dwa tygodnie bez troski, na łonie natury, przy zdrowem i obfitem odżywianiu, w gronie koleżanek, wracają radość życiową, rozbudzają wrażliwość na cuda przyrody, wracają oczom blask, a twarzom rumieńce, budzą energję i chęć pracy.

Urozmaicony był pracowity dzień druchny „Młodej Polki" w obozie. O godz. 6 wstanie, wspólna modlitwa, gimnastyka, śniadanie, wykłady, kąpiel, obiad żołnierski, składający się zwykle z zupy, mięsa, kartofli, sosu i jarzyny, gry ruchowe, wspólne śpiewy kobiece, porządki obozowe, wycieczki do lasów, kolacja, wspólna modlitwa wieczorna, wypełniały dzień „Młodej Polki" (p. obrazek na str. 12)

W przeddzień zakończenia kursu, przy licznym udziale przedstawicieli władz i społeczeństwa starszego, odbyły się zawody i rozdanie nagród. Nagród było 20, z których pierwszą sztucznie na 6 osób, dostała druchna Małuszewska ze Smigla, za pilność i wzorowe zachowanie się, reszta 19 częściowo za pilność, a częściowo za dobre wyniki podczas zawodów. Wręczenia nagród dokonał JE. X biskup Radoński, wskazawszy poprzednio na wielkie znaczenie wychowania fizycznego w ogólnem wychowaniu u człowieka. Oby jak najwięcej dziewcząt zapisało się w szeregi „Młodych Polek".

Polityka

Podwoje sejmu otwarte.

Fatalną trzynastką rozpoczyna się sesja sejmowa, ale początek sesji a jej otwarcie to jeszcze różnica. Kiedy się sejm zbierze, rozmaicie mówią, najpóźniej pod koniec września, czemu radby był rząd ze względu na budżet, który przedstawi sejmowi do rozpatrzenia. Są jednak inne sprawy pilne, które sejm gotów byłby załatwić, naprzykład ustawy samorządowe. Słychać, że rząd przeciwny jest tak jak i był, „samorozwiązaniu" sejmu, być może, iż sejm wobec schyłku swego żywota da pokój temu politycznemu samobójstwu i zgaśnie śmiercią naturalną jako starzec bezsilny.

Jeszcze o zaginionym jenerale.

Krąży pogłoska, że pewne stronnictwa zapytują rząd o losy jenerała Zagórskiego. Ale pytania poselskie czyli interpelacje straciły znaczenie, gdyż bodaj czy rząd na dawne to jest z poprzedniej sesji odpowie, a sesje bywają dość krótkie i niema czasu — na odpowiedź. Zresztą śledztwo w sprawie zaginionego jenerała toczy się w dwóch kierunkach: ucieczki lub uprowadzenia, a więc obu możliwości. I pisma nawołują rząd do wyświetlenia tej sprawy jak najprędzej w imię powagi państwa i prawa.

Czarna plama.

Początek września czarną plamą zaznaczył się w gospodarce naszej. Powódź w Małopolsce wschodniej nietylko zniszczyła zbiory, zresztą w tamtych okolicach niezbyt pokaźne, ale co gorsza uszkodziła kopalnie nafty, soli potasowych, tartaki, młyny i inne. Narazie straty nie są obliczone. Rząd będzie musiał w roku przyszłym wnieść do budżetu wielką sumę na regulację rzek górskich, by nieszczęściom ponownym zapobiec. A świat na nieszczęście nasze jest obojętny i tylko poseł amerykański pospieszył z osobistą ofiarą.

Tajemnica poselstwa sowieckiego.

W polityce wbrew naszej woli zajść mogą zmiany i to w stosunku do sowjetów. Trajkowicz, Rosjanin z Wilna, rzekomo monarchista, zabity został w poselstwie sowieckiem. Podobno ugodził nożem urzędnika sowieckiego. Mówią jednak o zwabieniu go do poselstwa w celu zabicia. Sprawa jest ciemną, ale sowiety chmurzą się i krzyczą, że monarchiści w Polsce za dużą mają wolność i za wiele sobie pozwalają. Wyniknąć może zatarg o to, czy wogóle sądzić się będzie zabójców Trajkowicza i kto sądzić będzie, sąd polski czy bolszewicki. W każdym zaś razie przyjazd posła sowieckiego do Warszawy i rokowania z Rosją o nienapadanie, kto wie czy się znowu nie odwloką.

Polska żąda potępienia wszelkich wojen.

Oczy polityków jednak zwrócone są nie w stronę Moskwy lecz w stronę Genewy, gdzie zgromadziła się liga narodów. Polska na gruncie ligi wszczęła samodzielną akcję. Przedstawiła bowiem oświadczenie, że wszelka wojna jest zabroniona i że różnice między państwami powinny być załatwiane środkami pokojowemi. Oświadczenie takie jest ważne dlatego, że dotychczas ustawa ligi narodów pozwala na prowadzenie wojen, o ile nie są wywołane złą wolą. Ale o komedję bardzo łatwo. Łatwo udać baranka w wilczej skórze, przy dobrej agitacji dzięki wymowie i pieniądzom. Mógłby więc naprzykład na Polskę napaść jej sąsiad, a Polsce liga nie pospieszyłaby z pomocą niby to dlatego, że Polska wojnę wywołała... A tłumacz się że nie, że jest niewinną, gdy wróg zajął to, czego chciał. Tymczasem gdyby oświadczenie polskie było teraz przyjęte, to już wszelka wojna byłaby zakazana.

Ale właśnie tego nie życzą sobie ani Anglja ani Niemcy. I dlatego Chamberlain i Stresemann do oświadczenia polskiego kazali dodać wstęp, a w nim stoi wyraźnie, że tylko wojna napastnicza jest przestępstwem. Na to Polacy opracowali nowe oświadczenie, potępiające bezwzględnie wojnę napastniczą i zobowiązujące wszystkie państwa do wyrzeczenia się gwałtów zbrojnych i przestrzegania już zawartych umów.

Ale czy w tej czy innej postaci przyjęcie oświadczenia polskiego nie oznacza jeszcze końca wojen, gdyż wątpliwe, czy liga pospieszy wczas z pomocą państwu-koledze, napadniętemu przez inne państwo, zwłaszcza gdy napastnik jest potężny.

Bojaźń karzełków.

Poza tem małe państewka pod przewodem Holandji wystąpiły z żądaniem, by wszelkie zatargi były załatwiane przez sądy rozjemcze, a na napastnika urządzana była wyprawa karna. Ale Anglja, nie chcąc się wiązać obroną słabiuchnych państewek, zwalcza wystąpienie Holandji. I tak po raz niewiadomo który widać, że interesy, lepiej powiedzmy zachłanność wielkich mocarstw wrogą jest istnieniu państw drobnych i bezbronnych. Więc pocóż ta liga narodów żyje?

Odpowiedzi Redakcji

Zośka w Czortkowie. Wyczerpane. — **S-jski, Szubin.** Radzimy się zwrócić p. adr. XX. Paliotyni, Suchary p. Nakłem. — **W. Byczek, Krosno.** „U stóp Marji" dobry, drugi wiersz do kosza. — **B. Szajba, Pniewy.** W sprawie stypendjum z funduszu Karola Marcinkowskiego informacji udzieli X. kanonik Zwolski, Poznań, Nowy Rynek 14/15. — **A. Prześniak, Borysik.** Dwutygodnik „Szaniec" wychodzi w Warszawie, Czackiego 16 m. 16. — **L. Bozik, Poniec.** Podawaliśmy kto może się uczyć za elektrotechnika, lecz posad nie wskazujemy. — **St. Walerak.** Wodę z cudownego źródła z Lourdes posiadają pątnicy, którzy wrócili z pielgrzymki, czy jakie instytucje tę wodę posiadają nie wiemy.

Kalendarz

18 września. Niedziela — **św. Józefa z Kupertynu.** — 19 września. Poniedziałek — **św. Januarego.** — 20 września. Wtorek — **św. Eustachego.** — 21 września. Środa — **św. Mateusza,** apostoła. — 22 września. Czwartek — **śś. Tomasza i Maurycego.** — 23 września. Piątek — **św. Tekli,** panny. — 24 września. Sobota — **Najśw. Matki Boskiej Łaskawej.**

Adorację Najśw. Sakramentu mają następujące parafje: Niedziela: Lewków. Poniedziałek: Ociąż. Wtorek: Ołobok. Środa: Rososzyca. Czwartek: Skalmierzyce. Piątek: Skrzebowa. Sobota: Sobótka.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma i abonamenci nie mają prawa domagania się niedostarczonych numerów lub odszkodowania.

Za reklamy odpowiedzialny Ignacy Domański w Poznaniu. — Redaktorem odpowiedzialnym za egzemplarze dodawane do „Narodu" jest p. Marjan Kwiatkowski w Herne (Westfalen). — Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.